

Tomek Baran



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Tomek Baran

Tomek otworzył drzwi do karczmy, para buchnęła z izby, niby z obory, i zaduch prawie lepki od gęstości go owiał; ale Tomek nie zważał na to, tylko wszedł i poprzez naród, splątany gęsto, niby żyto na boisku, przepychał się do drewnianych krat, za którymi stał szynkwias.

- Dać półkwaterek, ino krzepki.
- W blaszkę nalać?
- Nie, w szkło.

Odmierzyła mu karczmarka. Zapłacił, wziął buteleczkę, kieliszek i poszedł na drugą stronę izby, do drugiego stołu, usiadł pod ścianą, wódki w kieliszek nalał i wypił. Strzyknął śliną przez zęby, obtarł usta rękawem i zamyślił się. Żarło go coś we środku, bo nie mógł usiedzieć spokojnie, spłukał, bił pięścią w stół, to unosił się, chcąc biedz, ale opadał na ławę z cichym jękiem i rozcierał oczy kulakiem, bo mu coraz to łza spływała na suche, sinawe i przegryzione policzki, a piekła go, jak ogień. Prawie nie wiedział, co się wkoło niego dzieje. Jakiś ciężkie strapienie leżało muna sercu kamieniem, bo widać było, że rady sobie dać nie mógł, i że z coraz większą bezradnością opuszczał ramiona, i że coraz częściej wzdychał i drapał się po głowie.

A karczma aż się trzęsła od hołupców. Ze dwadzieścia par, zwartych ze sobą szczerlnie na niewielkiej przestrzeni, krążyło w kółko z przytupywaniem i pokrzykiwaniem.

- Hop! hop! hop! — leciał głośny pokrzyk.

Wódka i upojenie tańcem dymiły ze lbów, a podniecenie dzikie tak podrywało tańczących, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciej się okręcali w kole.

Czerwone wełniaki kobiet pstrzyły się między białymi sukmanami, niby maki w polu dostającego żyta. Kończący się dzień rzucał przez małe, zamrożone szybki karczmy smugi rudawego światła, a mały kaganek, świecący nad okapem, chybotał się ciągle i podrygiwał, jakby w takt hołupców.

Wrzawa głucha podnosiła się, niby szum splątany i niewyraźny, z którego tylko wylatywały, jak błyskawice, jędrne: Hop! hop! hop! — i znów na chwilę tonęło wszystko w zgiełku ogromnym; bo przy stołach, po kątach, przy szynkwasiu — gdzie tylko miejsce było, wszędzie stali ludzie i raili: o łońskich kartofflach, o księdzu proboszczu, o dzieciśkach, o dobytku, o wszystkim, co im leżało na „wątpiach” i z czego w kompanii zawždy łacniej się wygadać i łacniej mieć pożalenie; bo nawet, na ten przykład, jako i bydłę i ze źródła wody samo się nie napije, a w kompanii pije i ze „chrapu”, tak i człowiekowi samemu nie żyć, w karczmie się nie weselić, do lasu nie jeździć, ino, jak Pan Bóg przykazał, zawždy z drugimi, — z bratamy.

Wszyscy razem mówią, przepijają do siebie, ściskają się z serdecznością i „kuntentność” rozpromienia wszystkie oczy, i coraz głośniejszy krzyczy: Hop! hop! hop!

Dyle podłogi pod ciężkimi przycinaniami obcasów skrzypiały coraz ciężiej — a basy, umieszczone wysoko, na kłodzie z kapustą, śpiewały coraz grubiej:

- Bom, cyk, cyk! Bom, cyk, cyk!

A na to im odpowiadały lipowe skrzypeczki:

- Tuli, tuli, tuli, tuli, tulity, tulity!

I ochota była siarczysta i niepowstrzymana. Twarze były przy twarzach, piersi przy piersiach, plecy przy plecach — a wszystko tak nawskróś przeniknięte rytmami skocznej muzyki — że oberek szedł taki wściekły, zamaszysty, chłopski, aż sęki wylatywały

z podłogi, szybki jęczały żałośnie, a grube, pękate kieliszki na szynkwasio, aż dziw, jak podskakiwały z uciechy.

Od czasu do czasu karczmarz brał bęben z brzękadłami, potrząsał nim mocno, niby chłop Żyda za łeb, uderzał pięścią w skórę do taktu skrzypkowi.

— Dyy, dyz, dyz! — brzmiało wtedy zgielkliwe, zagmatwane i ogłuszające brzękiem — i tupot był zaraz siarczystszy i pokrzyki więcej schrypnięte, a kaganek aż przykucał i kopał sadzą, na powiewające, niby płaszcz, kapoty. Para z topniejącego na butach i przy drzwiach śniegu, dymz papierosów i mrok, jaki panował w ogromnej izbie, przysłaniały tańczących, że zaledwie tylko migotały czerwone twarze i niewyraźne zarisy ciał i barwy jaskrawe, w tym zapamiętałe się kręcącym wirze ludzkim.

— Kto mi będzie usługiwał, usługiwał, cha... cha... cha... i... i... i... — chichotały wesolo skrzypeczki.

— Oto ja, tylko ja... a... a... a... — odpowiadały z jakimś podrygiwaniem basy i zaraz do spółki zaczęły śmiać się i baraszkować i przenikać wszystkich śmiechem wesela, aż karczma zdawała się trząść od przyływu pijackiej wesolości.

Jedna baba oszalała,
A druga się wściekła,
Trzecią dyabeł okulbaczył
I pojón do piekła.

Zaśpiewał ktoś jak na pobudkę, bo zaraz zaczęły się zrywać coraz inne zwrotki i bić wesolością coraz większą.

Tomek tylko wciąż siedział zadumany: nalał drugi kieliszek, ale mu go wywrócił jakiś rozhułany tanecznik, więc kopnął ze złości jego tancerkę i wstał, bo i zimno mu było od okna i markotno siedzieć samemu, poszedł za szynkwasio do alkierza.

Narodu i tam było pełno, buteleccki ściskali w garściach, całowali się, gadali i przepijali do siebie, baby wstydliwie przysłaniały się zapaskami i cmoktały okowitę z rozkoszą. Poczęstunek szedł rzetelny — katolicki: stać było kogo na arak — stawał, abo na spirytus z asencyą — stawał, abo na okowitę samą — stawał, abo tylko na piwo — stawał.

Stawał z dobrego serca i z ochoty.

Wszyscy byli już pijani, ale nic to: raz kozie śmierć, gorzalina nie piekło, a biednemu kiej-niekiej trzeba pocieszenia duszy grzesznej, i choć kapkę na frasunek.

— O psie jeden — bełkotał pijany chłop do komina — takiśto kum! czekaj!... A ja go tak, a un me tak, a ja go za orzydle¹, a un me w pysk!.. Takiśto kum, o psie jeden, taki krześcijan!... a un me w gembe!... Bartek zmógł siła, to i ciebie zmoże... zmoże... psia... zmoże... A ja go tak, a un me tak, a ja mu pedom grzecnie: bracie!... a un me w pysk, a ja mu pedom: kumotrze!... a un me w pysk! a ja mu potem: takiśta kum, taki krześcijan... — mrucał coraz niewyraźniej i bił pięścią w komin, aż się echo rozlegało, i zataczał się coraz senniej.

Ja za wodą, ty za wodą.
Jakże ja ci buzi podom?
Podom ja ci na listecku,
A naści-że, kochanecku

zaśpiewała Karlina, ta, co to w kopania męża pochowała i sierociła teraz sama jedna na półwłóce pszennej ziemi z koniem, z krowami i z niezgorszemi jeszcze szmatami po nieboszczyku. Rzuciła się do młodego chłopaka, stojącego pod ścianą, i znowu mu zaśpiewała:

Wojtecku, Wojtecku,
Nie siedź na przypiecku —
Ino chodź do wdowy,
Bo ma chleb gotowy.

¹orzydle — ubranie na piersiach. [przypis autorski]

— Wojtek, w twoje ręce, parobku kochany. Głupiś, będziesz się ta ojców bojał. Jakem rzekła: grunt ci zapiszę, to zapiszę, bo to nie mój, co?

Będziesz miał, kiej w raju — moje ty kochanie,
Zjesz syrek na wieczór — kurę na śniadanie.

— Ojcu duchownemu się pokłoń i na zapowiedzie daj, wieprzaka się uszlachtuje, kołaczów upiecze, araku kupi i weselisko się wyprawi, że aż ha!

— Oj, stara a głupia! Zębów nima, a gryzłaby! — odezwał się ktoś z boku.

— Hale! gdzieś se wraź ślipie, a nie komu w zęby. Widzicie go, „deputnik” pieski! — rzuciła się Karlina gwałtownie.

— Cichoja, kumo, ja wam coś rzeknę.

— Psu se rzeknij. W palto się ustroiła pokraka i myśli, że »sielny« pan — a choć ty po wsi szczekasz, jak ten pies, ja ci i tak gorzałki w gardziel nie wleję.

Zwróciła się do Wojtka, odciągnęła go w kąt i namawiała go sobie dalej, a obok przy stoliku siedziało dwóch chłopów i popijało z pękatej butelki. Jeden drapał się po głowie i milczał, a drugi gestykułował szeroko i gadał:

— Miarkujcie tylko, że Czerwiński to wam rzekł: termedye różne szły na mnie, jak baby nażydowskiego konia, a ja nic! Kobita mi się przy dziecku zmarnowała — nic! konie mi ukradli — nic, ino czekam, Jędek mi zachorował na ospę — o psiachmac! Jak nie wypiję okowitki z tłustością, jak nie zanieś dobrodziejowi na mszę świętą — i — jak ręką odją! Grzela, rób tak samo, a zobaczysz, że ci pomoże. Czerwiński ci to mówi, to Czerwińskiemu wierz.

— Dziecisków, jak pliszek na podorówce, kobieta na świeże chora, podatek trzeba płacić, kartofle mi zmarzły, bieda aż piszczy — a tu na wszystko — patyk złamany. Laboga, laboga! Pijcie-no do mnie! Widzi mi się, że nie poradzę, na rozum bierz i z tej i z tamtej strony i nic wykalkulować nie mogę.

— Głupiś, w twoje ręce, Grzela; już ty lepiej w pysk od dozorczy bierz, a na rozum nie bierz, bo nie poradzisz, a pięścią kiedy niekiedy weźmiesz, ale i robotę miał będziesz na plancie i świeży grosz. Miarkuj se ino — Czerwiński ci to mówi! a Czerwińskiemu wierz, bo jako dobrodziej powiedzieli, co w parafii on jest jedna głowa, a Czerwiński druga! Niech mu Bóg da zdrowie, mądry on szlachcic i uczony. W twoje ręce, Grzela.

— Pani Jackowa, moja pani Jackowa: flaszeczkę esencji, kwaterkę spirytusu, dwa rządki bułek i kielbasy font! — wołano od stolika pod oknem, przy którym siedziało czworo ludzi: dwoje ubranych z miejska i dwoje po chłopsku.

— Pani Jackowa, moja pani Jackowa, a octu do kielbasy, a talerza dla pana Strzelca! Widz pan Strzelec, ja powiem, jak to było...

— Cicho, stary, ja dokumentniej opowiem, bo ty nie pamiętasz — przerwała mu żona. — Ide se duchtem² na ten przykład, ide...

— Stul gembę, zaraz będzie tu ozorem mleć po próznicy. Ja powiem. Pańskie zdrowie.

— Pijcie z Bogiem.

— Słodka i mocna, panie Strzelec, jeszcze jednego!

— Wasze zdrowie, Andrzej!

— Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

— Bóg zapłać, Andrzej, ale ja już nie mogę.

— Mój najukochańszy panie, jeszcze kieliszek, tylko ździebko, choć łycka, o... Zaraz powiem, jak to było. Żona mówi: ide se duchtem, niby przez działkę pana Strzelca, powiada, leży coś: zając, czy nie zając — nie; nima ogona, powiada, nie cielak, a i nie świnią, bo nie kwiczy. Baba stanęła, ba, aże ścierpła ode strachu, że tylko odmawia »Pod Twoją obronę«; a ten zwierz leży furt i rozdziawia gembę, powiada, a kły miało, jak palec — a że babski naród, zły naród i zapamiętały, czy to w złości, czy w dobroci — to jak nie zdejmie trepiska z nogi i jak nie chłaśnie tego zwierza w łeb, i jak nie weźmie uciekać z płaczem do domu — powiada. Przyleciała do chałupy i powiada: Stary! — A co? — odrzeknę. — Zabiłam jakiegoś zwierza na duchcie — powiada. Nie odrzekne nic, bo myślałem, że ją tak z chodu zamroczyło i plecie trzy po trzy, zwyczajnie, jak baba. A ta

²ducht, dukt — droga leśna. [przypis autorski]

wciąż swoje: — Zabiłam zwierza, czycosik na duchcie. Grdyknąłem ją ano przez plecy, bo co tu będzie pleść, a ta znowu swoje: — Zabiłam zwierza na duchcie, laboga! Z babą nie poradzę, myślę sobie, a może i człowieka zabiła albo co. Założyłem siwkę i pojechałem zobaczyć, jako mnie wtedy w lesie i spotkał pan Strzelec.

— Andrzeju, nie cygańcie! Złapałem was, jak kładliście sarnę na wóz.

— Jeszcze kropelczkę gorzałki, panie Strzelec, — na drogę. Ja prawdę rzekłem, jak na spowiedzi, przed dobrodziejem. Pan Strzelec jest mi więcej, niż ociec, niż brat, bo mój dobrodziej kochany. Wiem, że jak pan Strzelec chciał będzie, to ja w sądzie sprawę przegram, bo już na świecie takie urządzenie jest, że zawsze szlachcic górą, a ty, chłopie, cierp, rób i płac! Wiem, że pan Strzelec człowiek rzetelny, zgodny i sprawiedliwy, to krzywdy mi nie robi, a że pana kocham, niby rodzonego — świniaka jutro żona zaprowadzi, po przyjacielsku, i zgoda będzie. Co tam sądom dawać zarobek! Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

— Dołożę jeszcze kaczuszków i miodu plasterek, bo wiem, co pani Strzelcowa jest pani szlachetna i delikatna, w szkołach była edukowana, jako i pan Strzelec, a nie takie chłopcy-chamy, jak my, na ten przykład, — dodała chytrze kobieta, chyląc się do kolan Strzelcowej, ta zaś ją ujęła za szyję i z rozrzewnieniem zaczęły się całować.

— Już ja mam takie miękkie serce, że nie tylko wam sarnę daruję, Andrzeju, ale jakby wam potrzeba było sosenki jakiejś, albo i dąbka młodego — to odmówię serca nie miał.

— Pańskie zdrowie, duszo miłosierna i krześcijańska.

Zaczęli przepijając do siebie często, całować się serdecznie i szeptać po cichu, że od drugiego stołu znów słychać było chłopów:

— O juchtra! Zmarnował się człowiek. Wyście z nim razem mieszkali?

— Tylko przez miedzę. Patrzyłem się na wszystko, to juści, że człowieka markotność rozbiera, niby choroba.

— Czerwiński wam powie tak: mógł jeszcze żyć, „co go wypominam podczas wieczoru, ale w dobry sposób”, — mógł.

— Halo! Na wielki dwór wcale już nie chodził, tylko mu ciągle odmiatało; postękiwał, postękiwał, aż i zamarł chudziasek.

— Doktor pono u nich był?

— I... doctory. Jak kto ma zamrzeć, to choćbyś mu gruntu hubę dał i dobra wszelkiego po grdykę — nie ożyje.

— Prawda! w twoje ręce, Grzela!

— Pijcie na zdrowie. A kto był winien temu? Po prawdzie i sprawiedliwości, że tylko świnia i baba, nie kto drugi. Maciorę miał utuczoną, niby kłoda; prowadził ją na sprzedanie, bo grosza było potrzeba. Poszedł z oną świnią; śniegi zwały po pas, nautykał się, namarnował, zwyczajnie, jak przy handlu. Potem kielbasy zjadł, zastygła w nim i zmizerował się. Żeby był gorzałką zapił, nicby mu, jako Bóg na niebie, nie było, ale nie pił i półkwatka.

— Bał się nieborak piekła w chałupie.

— Ho, ho! Babę miał marną, ale imistą w garści; prała-ć go nieraz, prała!

— Wasze, kumie.

— Niech będzie na zdrowie. Czerwiński wam tak powie: żeby był „psiąkrótkę” prał, aży jej pomroka na oczy wlaża, to miałby żonkę grzeczną, że ha!

— Prawdę mówicie, sołtysie, prawdę. W garści miękki był, pomyslonku chłopskiego nie miał, i teraz ziemię gryzie — a wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

— Na wieki wieków, amen. W twoje ręce, Grzela.

— Takiście to mąż? — kobieta tam ledwie żyje, a wy tu pijecie sobie, pogany! — krzyczała jakaś baba, przepychając się do nich.

— Co mi tam!... dzieciaków, niby śmiecia a tu nowe...

— Grzela, nie obrażaj Pana Boga, bo ci jeszcze je pobierze...

— Napijcie się, kumo, kapkę i zaraz pódziemy...

— A jak to mnie Jezusiczek — zaczęła kobieta — nie pocieszył na starość dzieciąteczkiem, do Częstochowym chodziła i u różnych doktorów się likowałam i nic — sama zostałam na świecie, jako ten grzeszny palec... sama.

— Ale, miej baba dziecko, jak ci sto lat minie.

— Nie gadałbyś, Czerwiński, nie byłam to młoda, co?

— Pan Bóg wstąpił w niebo, dyabeł w babę, a kwas w piwo — tylko, że niewiadomo kiedy! — miarkuj se to, niewiasto, bo ci tak Czerwiński rzekł.

W kącie na skrzynce siedział młody chłopak, organistów miejscowych syn, a przed nim stała bardzo stara kobieta i szeptała przyciszonym, dźwięcznym głosem:

— Siedemdziesiąt sześć років żyje, paniczku — tom widziała i białe, i czarne, i różne. Sługiwałam i u takich państwa, co tylko w ogiery jeździły, na srybrnych miseczkach jedli i po zagranicznemu gadali — a gdzie są oni teraz! gdzie? I na książce umię, i gospodynią pierwszą na całą wieś byłam, i dzieci miałam, i dobra wszystkiego dotąd... o... i wszystko gdzieś przeszło, skapiało, jak to słońce latowe, co go nam Pan Jezus daje grzesznym na pocieszenie. Wiem ja wszystko, paniczku, wiem, czy to pańskie życie, czy to chłopskie życie — to zawždy nic innego, tylko ostatnia mizeracya jest. Ja prosta baba jestem, siedemdziesiąt i sześć років mam — to sobie już wszystko wymiarkowałam. Paniczku! sześć tysięcy lat świat se stoi?

— Prawie sześć tysięcy lat.

— A widzi paniczek, że ja wszystko wiem, a według tego tak myślę: że tyle tysiączków świat stał sobie beze mnie i dobrze było, to przez co ja tyle років przecierpiała!? Co tu po mnie było?

— Ano trudno, Pan Bóg życie dał... to...

— Paniczku, przerwała mu szybko stara — ja prosta baba jestem, a paniczek uczony, bo na organach grać gra, po łacińsku z ojcem duchownym paniczek śpiewa i wie, kiedy wyciągnąć nutę cienką, a kiedy grubą — ale powiem: może ja grzeszne mam myśli, — ale powiem: to pewnikiem dyabeł wypuszcza sobie duszyczki na świat, żeby cierpiały, żeby się tłukły w ostatniej mizeracyi przez tyle lat, co ja. To nie Pan Bóg, choć w książkach stoi i księżde mówią: nie. Coby ta Jezusickowi przyszło z tego, że tyle narodu się nacierpi, nabieduje, namarnieje... Pan Bóg jest dobry pan i sprawiedliwy... Nie słodkie jest życie, nie aksamitne — tylko drze niby zgrzebło, aże się człowiek krwią serdeczną oblewa.

— Co wy też, Jagustynko, wygadujecie, przecież to grzech...

— Tylko krzywdę drugiemu człowiekowi robić jest grzech, a jabym psa nie zgła kijaszkiem, bo żyw i takóž cierpi przez to. Paniczku, prosta baba jestem, ale serce mam, jak ten węgielek, przez ogień spieczone, przez gorzkość, com ją piła całe życie i za siebie i za drugich, i wiem, że dyabeł dał życie, aby się ludziska po wiek wieków marnowali po świecie, przez złość do Pana Boga, ale Jezusiczek najukochańszy zlitował się nad nami, przeparał złego i po trochu wybiera se ludzi do swojej chwały — i wybierze kiedyś wszystkich. Ja tylko czekam, aż kostucha przyjdzie i rzeknie: Pódzi!... czekam i pacierz oto mówię, niechby najprędzej oczy przywrzeć, nie mieć już nijakiej turbacyi, ni biedy — i odpocząć sobie rzetelnie, odpocząć, paniczku...

Wyprostowała się nad drzemającym organiściakiem i suchą, przeradloną troskami i starością twarz zwiesiła, a w wybladłych, przepalonych łzami oczach błysnęły jakieś lzy... obtarła je szybko za paską, westchnęła cicho i zwróciła się do Tomka, siedzącego samotnie na skrzynce, z flaszką w garści.

— Tomek! tobie z oczów coś złego patrzy — szepnęła, dotykając jego ramienia.

— A coby, jak nie bieda? bo to babka nie wiedzą?...

— Słyszałam coś, ale ludzie różnie gadają, że nie wiadomo, kiej wiara, a kiej para.

— Dymiszę mi dali — szepnął chłop smutnie.

— Bez co?

I w głosie jej zadźwięczało ogromne współczucie.

— Bez co?... bo trzeba było dawać dozorczy: to gąski pod jesień, to masła na zapusty, prosiaka i jajków na Wielkanoc, to kuraka na Świątki — a ja nie nosilem, jak drugie: skąd wziąłbym? Dzieciom nie było co dać jeść — kobieta mi się z biedy zmarnowała, krowa padła też nie przez dobrość, kartofle, wiecie, jakie były łoni... mniej wykopałem, niż wsadziłem. Darłem się prawie, i ani żonie, ani niczemu nie poradziłem; harowałem na służbie i w domu, i w dzień i w nocy, a biedy nie zmogłem. Dozorca ciągle pomstował na mnie — com mu miał dać? pod żebro może, bo sam z dziećmi nie mieliśmy co na ząb położyć. Pędził mnie i pilnował przez złość coraz barzej. Pisał do naczelnika laporta, że

jestem hardy, że lenciaj, że na służbie śpię, że plantu nie obchodzę — potem powiedział, że żelazo ukradłem z magazenu, że...

— Tomek, wzięłeś? powiedz mi prawdę, już ci wszystko jedno, co?

— Nie wzionem, babko, nie — żeby tu jak zły pies skapiał przy świętej spowiedzi, prawdę mówię; nie kradłem nigdy, kradli nieraz drugie kolegi, ale mój ojciec nie kradli, to i jego syn nie będzie złodziejem. Biedny ja jestem, ale i tak złodziejem nie jestem.

— I tylko cię przez to wygnali. Powiadali, że żelazo znaleźli u ciebie...

— Juści. Rzetelna prawda, znaleźli, ino że nie ja przyniesłem. Rafałów Michał obiecał dać dozorczy pięćdziesiąt rubli, jak go zrobi dróżnikiem, a że wakansu nie było, to un podrzucił u mnie żelazo i denuncyował. Rewizyę zrobili u mnie, znaleźli i wygnali mnie. Wszystko przepadło, bo, choć wiedział, kto to zrobił — świadka nie miałem. Sześcioro narodu zostało bez chleba. Zarobić niema gdzie, jeść niema co, żyć nie można, a jak Jezus miłosierny nie pomoże, nie ścierpię, nie ścierpię!

Jęczał bezradnie i lzy mu pociekły strumieniem po szerniałej twarzy.

— O doło ludzka: tylko płacz policzki przeżre, tylko dusza z bolenia skurczy się, jak ptaszek na mrozie, a żaden poratunek znikąd nie przyjdzie. Tylko głupi naród mówi, że jest jaka dobroć na świecie; oj, jest dobroć, aże gardłem wyłazi! — szepnęła gorzko stara.

— Nie daj się, Tomek; i złego Pan Jezus przeparł, to czemu by pocziwy człowiek nie poradził biedzie z pomocą Panienci Najświętszej — rzekła mu pocieszająco i poszła do szynkwasu: kupiła dwa rządki bułek, kwartę kaszy jaglanej i z tem powróciła do niego.

— Tomek, weź kaszę i bułeczki dla dzieci, biedna jestem sierota, dać-bym dała, ino nie mam co. Kto ma, kupi co chce, a ja komornicą jestem. Ale! Tomek, poradzę ci coś...

— Poradźcie, babko, to wam Pan Jezus i ta Przenajświętsza zapłacą za mnie biednego.

— Idź jutro do dozorczy, obłapij go za nogi, może się ulituje; przecież sam ma dzieci, bo samemu tobie zdychać z głodu, nic to — ale bidota taka, co jeszcze nic nie kalkuluje, nie potrafi ścierpieć i grzech jest, coby skamlały dzieciśka z głodu.

— Nie, babko, nie pójde — szepnął z ponurą zaciętością Tomek. — Niech skapieję, przyjdzie zdechnąć z głodu, to zdechnę, a jego prosić nie będę. Leżałem ja temu piekielnikowi u nóg i o robotę jak pies skamlałem i jak pies skamlałem o zmiłowanie nad dziećmi — to mnie kopnął nogą i kazał wyciepnąć za drzwi!... Nie, nie pójde, bo się boję grzechu, bo się boję — bo jak go zobaczę, to mnie tylko ciągotki bierą, żeby go za gardziel chwycić i jak złego zwierzaka zakatrupić!

Szeptął przytłumionym nienawiścią głosem i pięści zaciskał coraz silniej, potem chwycił się za piersi i znowu zaczął:

— Aż mnie w piersiach boli, tak się zmagam, ale ścierpiałem tyle, że więcej nie wiem, czy poradzićbym poradził.

— Baran, trzymaj ty w sobie tego wilka mocno, trzymaj, bo o nieszczęście nie trudno.

— Do boru jutro pójde sięgi rąbać.

— Koszula nie rządzi, kiedy brzuch błądzi.

— Od ćwierci sążnia złoty i groszy dziesięć psiadusza Żyd tylko płaci i potrzeba na to dobrze dwa dni żebra wyciągać.

— Tomek, idź ty zaraz do proboszcza i proś — on się zna z urzędnikami, to mógłby przemówić za tobą, aby ci robotę jaką na plancie dali.

— Hale, kiedy ksiądz jeździ do dozorczy i znają się ze sobą dobrze...

— Głupiś, ksiądz zawdy na sprawiedliwość i na biedny naród ma większe uważanie. Poradzić ci co może i pomódz.

— Nie mam co w pazury wziąć, a tak gołkiem, bez niczego, śmiać nie będę.

— Głupiś, dzieciśka mu na podarunek nie weźmiesz, a co innego masz?

— Prawda, ale... zawsze... nie zanieść nic dobrodziejowi...

— Głupiś, mówię ci, idź zaraz, do nóg dobrodziejowi padnij, wszystko opowiedz — a tylko się w piersi bij, a płacz, i mów o dzieciśkach — to zobaczysz, że ksiądz zmięknie zaraz.

— Ta! to i pójde — szepnął prędko przekonany i wstał ze skrzynki, kozuch obciągnął, baranicę na głowę nadział i przepychał się przez alkierz i przez tańczących.

Stara wyszła za nim, przed karczmą powiedziała mu jeszcze:

— Tomek, nie bądź hardy z dobrodziejem i proś grzecznie, bo chłop bez gruntu to jak ptak we wodzie, rozpląszczy się skrzydełkami i musi piukać, co by mu drugie pomogły, boby sam utonął.

Nie odrzekł nic, bo go taki mróz owionął, że aż się zachłysnął zrazu, ale baranicę głębiej jeszcze nasunął na oczy i poszedł prosto od karczmy przez pola wydeptaną ścieżką.

— „Będziem jedli, będziemy pili, będziemy się weselili!” — śpiewały za nim skrzypeczki.

— „Jak Bóg da, jak Bóg da!” — mruzczały ciszej basy, podrygując wesoło, ale Tomek nie słuchał tych głosów, co się wydierały przez strzechę karczmy i rozpryskiwały w mroźnym powietrzu, niby brylantami skrząc się deszcz dźwięków — tylko szedł ostro.

Na polach widno było od śniegu i księżycy, jak w dzień.

Olbrzymie białe chmury leżały w przestrzeniach, co się rozciągały nad ziemią w wielkim majestacie ciszy i ogromu, niby srebrno-płowe opony. Równiny, pofalowane wzgórzami, poznaczone nagimi szkieletami drzew, zypiskami kamieni — rozlewały się morzem, oślepiającem białością skrzącego się śniegu. Taka głęboka cisza panowała w polach, że Tomek długo jeszcze słyszał odgłosy karczmy i chwilami odwracał się, by spojrzeć na nią i na migocące złote plamki światełek wsi, a potem przyśpieszał jeszcze kroku i biegł, nie zważając na mróz, kłujący go w policzki i zapierający mu oddech.

Przydrożne, oszroniałe krzyże rzuciły błękitne, długie cienie; zdejmował przed nimi czapkę, żegnał się nabożnie i wzdychał głęboko — czasami zabijał ręce skostniałe o ramiona, zaciskał mocniej pas i szedł dalej.

Czasami stado kuropatw podrywało się z cichym a przejmującym krzykiem, kołowało chwilę i zapadało w białej, srebrnawej mgłę, wiszącej nad śniegami — to znowu zając sadił przez pola, przystawał, nasłuchiwał, stawiał słupka i pomykał dalej; to znowu jakaś bezkształtna, szara chmura płynęła przez przestrzeń i rzucała błękitnawy cień na śniegi; to jakiś głos suchy mrozu leciał nad ziemią i, rozbity w miliardy drgań, skrzył się w blaskach i mącił ten boski spokój nocy zimowej; to pomruk, podobny do westchnienia ciężkiego biegł od lasów, to szum głuchy i odległy — i była znowu cisza, martwota, pustka i wielka, słodka senność na ziemi.

Tomek nie zważał na nic, bo sobie w myśli układał: jakto on przyjdzie do księdza, jak padnie mu do nóg, jak powie: Dobrodzieju! jak się rozplącze i zacznie przed tym kochanym ojcem wyjawiać swoje strapienia i nędzę swoją, i tak się już przejmował, że lzy rozczulenia zabłyśły mu w oczach, stoczyły się po policzkach i zamarzyły na wąsach. A potem myślał o domu i dzieciach:

— Marysię dam w służbę, Józwę też — będzie dziewczuchom lepiej, a i mnie lżej — ale coś go zabolalo w sercu na myśl rozstania się z dziećmi. — Śpią se robaki kochane, śpią — pomyślał, obmacując starannie bułki i kaszę, które miał w zanadru. — Pan Jezus da doczekać wiosny, to o robotę będzie łatwiej i ony coś niecoś zarobią — myślał. — Praży też Jezusieczek, praży — szepnęła, rozcierając sobie twarz śniegiem. — Folguje se Pan Jezus, folguje... — i przystawał, nasłuchując. Od stodoł dworskich, z daleka mających szaremi ścianami, dochodziły odgłosy psiej wrzawy. Zaczął iść wolniej i coraz lepiej wyteżał wzrok i trwożliwiej, bo ten psi gwar, naszczekiwanie, skowyty — brzmiały coraz bliżej i groźniej. Wkrótce zobaczył kilkunastu psów, coś zajadle rozrywających pomiędzy sobą.

Na folwarku owce zdychały na motylicę całymi setkami, więc je służba po odarcu ze skóry wywłóczyła za budynki i zakopywała w śnieg. Ze wszystkich stron psy się zlatywały do biesiadnego stołu i przez całe dni i noce ucztowały, żrąc się o padlinę.

Tomek ominął je z daleka i poszedł naprzelaj ku wsi, rozrzuconej po stokach wzgórza, uwieńczonego małym, drewnianym kościołem i gromadą lip potężnych, co usiadły niby starce dokoła i swojimi olbrzymimi rosochatemi ciałami broniły go od wichrów i złej doli, gwarząc szeptem w ciche miesięczne noce.

Plebania stała niżej nieco, w środku ogrodu, rozrzuconego na zboczu wzgórza i dotykającego wsi. Przed gankiem, większym niż niejedna chłopska chałupa, Tomek się zatrzymał, czapkę zdjął i zaczął przestępować z nogi na nogę, bo odwaga opuściła go zupełnie; zaglądał w oświetlone, ale przysłonięte roletami okna, drapał się po głowie, splotował, to znowu się żegnał dla nabrania odwagi, ale wejść nie śmiał.

Kościół stał tak blisko i tak czerniał tajemniczo, a okna tak dziwnie się lśniły księżycowym światłem, lipy miały dzisiaj taki groźny wyraz, a krzyże odwiecznych grobowców na cmentarzu były tak wielkie i tak się ostro rysowały na tle śniegów, że Tomka jakiś zabobonny strach ścisnął za gardło. Zaczął w sobie dygotać, ale stał wciąż.

Chwilami posepna chmura odgradzała księżyc od ziemi, rzucając przejrzysty, niby od wachlarza, cień, to znów w ogrodzie, w krzakach coś zatrzeszczało tajemniczo; czasem gonty na kościele albo żerdzie w płotach pękały z hukiem od mrozu, to znowu wrony łopotały skrzydłami i tłukły się z wrzaskiem po drodze, po kupach śmieci; koń gdzie w stajni zarżał, rozległ się bek owiec, albo kwik świń, odgryzających przy korycie, przedarł się z księżych chlewów i drżał chwilę w powietrzu, aż cisza znowu zapadła i ogarnęła wszystko.

Tomek wciąż stał, patrzył machinalnie na białe opary, podnoszące się z oparzelisk, to na błyszczące gdzieniegdzie we wsi światełka. Przyszły mu na myśl dzieci, więc tylko szepnął: „Bidoty kochane”, i zaraz wszedł, przewyciężając nieśmiałość, prosto do kancelaryi proboszczowskiej.

Ksiądz na łoskot otwieranych drzwi powstał od stołu i śpiesznie zakładał okulary. Tomek czapkę w kąt rzucił i jak długi runął mu do nóg.

— Ojczy! Dobrodzieju kochany! — szeptał ławo, ściskając mu nogi.

— Co? kto to? coś ty za jeden? czego?

Rzucił wylężnione zapytanie proboszcz, przestraszony gwałtownością ruchów Tomka.

— Zmiłowania przyszedłem prosić dobrodzieja.

Ksiądz wsadził nareszcie swoje okulary, przyjrzał się klęczącemu i już spokojnie mówił:

— A! Tomasz Baran! Wstań, moje dziecko, wstań!

Usiadł sam, kraciastą chustą przetarł okulary i rzucił ją na kupki miedziaków, porozstawianych regularnie na stole.

Tomek powstał i obcierał rękawem załzawione oczy.

— Co mi powiesz? masz interes jaki, może ci kto umarł?

— Gorzej, ojczy duchowny, bo wszyscy po trochu mrzemy. — Zaczął dosyć spokojnie opowiadać; miał łzy w oczach a cichą, bezbrzeżną rozpacz w głosie i mówił o wszystkim z taką szczerością, że ksiądz musiał mu w części uwierzyć, bo na jego białej twarzy, podobnej do maski zblichowanego wosku, pełnej słodczy jakby zastygłej, migotał cień smutku i współczucia.

Tomek skończył, a ksiądz ze srebrnej tabakierki tabaki zażył i długą chwilę milczał. Miał serce bardzo litościwe, ale tyle razy go wyprowadzono w pole kłamliwymi łzami i udawaną szczerością, że się teraz bał uledz, więc nastrajał twarz chmurnie, odymał groźnie usta i pokrywał, o ile mógł, rozrzewnienie, jakie czuł w sobie.

— Szóste: nie kradnij! — powiedział twardym głosem. — Gałgany, ciągle wam to mówić z ambony, he! Pan Bóg was karze, bo nie słuchacie Jego świętych przykazań.

— Nie kradłem, ojczy duchowny, kiej na spowiedzi świętej mówię; nie wzionem, to tylko przez złość, że nie dawałem żadnych dyngusów, ani podarunków, zmówiły się na mnie i wyгнаły.

— Ósme: nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu. Nie mówisz, Baran, pacierza, nie pamiętasz, he!

— Prawdę rzekłem, ojczy duchowny, świętą prawdę, bo dozorca ciągle na mnie warł, czy było o co, albo nie było — bo mu nie dawałem; bo za te dziewięć papierków, co mi w miesiąc płacili, ledwie się mogłem wyżywić.

— Dziesięciny i powinności wiernie oddawać. Mam ci ciągle przypominać, czego Pan Jezus i święty kościół katolicki naucza, he!

— Ojczy najlepszy! krześcijanin jestem, do spowiedzi chodzę, na mszę świętą daję, ale zmiłowania przyszedłem prosić, bo mi dzieciska mrą z głodu, a mnie już dur przychodzi do głowy; sypiać nie sypiam od ciągłej turbacyi i rady dać sobie nie mogę. Zaborgowałem się i u Żydów i u ludzi; sprzedałem ostatnie szmaty, sprzedałem prosiaka, com miał ostatniego, i już teraz jestem na glanc, że tylko jedna kostucha ma co brać. Laboga! laboga! — szepnął ciężko — już dłużej nie zdzierzę, jak mi ojciec kochany nie pomogą, to już i umrzeć przyjdzie.

Upadł znów do nóg księdza i prawie ryczał płaczem niepowstrzymanym i tak się trząsał, tak łkał żałośnie, że ksiądz odwrócił się nieco, aby obetrzeć łzy i bardzo cicho, trzęsącymi się ustami, zaczął mówić:

— Moje dziecko. Chrystus cierpiał za nas niegodnych; za nas, niewdzięczne dzieci, dał się ukrzyżować, zbeczczyć tłuszczy podłej i nie rzekł ni słowa, choć mu ostrymi gwoździami przebili ręce, przebili nogi, choć mu krew zalewała oczy i bolały rany; nie skarżył się, tylko rzekł: Stań się wola Twoja, Panie! Bracie mój... Tomku Baranie... — urwał nagle, bo mu łzy rozczulenia przysłoniły twarz, obcierał się śpiesznie i szeptał: — Biednyś ty, Baran, biednyś ty, sierota... biednyś...

Milczenie zawisło ciężkie, bo pełne rozbitych drgań i akcentów płaczów i skarg Tomkowych.

— Pojutrze odprawię na twoją intencję mszę świętą do Przemienienia Pańskiego, może ci Pan Bóg przemieni.

— W chałupie niema już ani okruszyny chleba, a dzieciśka tylko skwierczą — szepnął Tomek. — Możeby się ojciec duchowny wstawili za mną do urzędników, albo i dworu choćby, cobądźby płacili, niechbym tylko robotę miał, bo oni się wszyscy zmówili na mnie i nigdzie przez to nie dadzą roboty. Chcę przecież robić, chcę...

— Pomówię o tobie, bo biedny jesteś: pomógłbym ci zaraz, ale wiesz, że u mnie zawsze krótko... I miłować będziesz bliźniego swego, jako siebie samego... Nie mam nic... Wiesz, karego mi ten łajdak Antek, żeby Boga przy skonaniu nie oglądał, schwacił tak, że mi zdechł. Składałem sobie trochę, aby konisko jakie kupić, ale Wawrzon się spalił, to znowu Kłębowi krowa padła — i, zmiłuj się Boże, nie mam znowu grosza... Co ja ci dam, moje dziecko... jeść ci się chce?

— Juścik, ale to nic, ino że dzieci drugi dzień już nie jedzą.

— Boże kochany... — szepnął i poszedł do wmurowanej w ścianę szafki, wyjął z niej ledwie napoczęty bochenek chleba i dał.

Tomek dziękował mu z serdecznością i zabierał się do odejścia.

— Czekał-no, dam ci parę groszy, wiele nie mogę, bo to nie moje. — Wziął kupkę miedziaków w rękę i wyjął dziesiątkę. — Masz, moje dziecko, nie mam więcej, idź z Bogiem. Ja już tam za tobą przemówię, gdzie potrzeba. Biednyś ty, Tomku, ale zmiłowanie Pańskie i moc jest wszechpotężną. — Pocałował go w głowę i zrobił nad nim krzyż w powietrzu, szepcąc jakąś modlitwę półgłosem.

Tomek wyszedł do głębi wzruszony, ale i pokrzepiony na duchu.

— Niech ci Bóg da zdrowie, to dobry szlachcic! — szepnął i poszedł prosto z plebanii, przez zaśnieżone pola, nie patrząc już dróg, ani ścieżki, ku domowi.

Było mu jakoś lżej na duszy, jakby odetchnął nieco po udręczeniu. Pobożne i współczujące słowa księdza napełniały czułością jego proste pocziwe serce, przenikało go jakieś ciepło nadziei.

— Biednyś ty, Baran, sierotaś ty, Tomku! — powtarzał odruchowo słowa księdza i tak się wewnątrz rozczulał tymi przypominanymi dźwiękami słów, że mu łzy rozrzewnienia płynęły po twarzy i bezwiednie się pochylał, jakby pragnąc kogoś objąć za nogi.

Mród coraz siarczystszy oprzytomniał go zupełnie, że prawie zapomniał o księdzu i o obiedzie, tylko coraz chciwiej oczyma chwycił konturyswojej chałupy, słabo szarzejącej pod lasem, i serce biło mu niepokojem o dzieci. Chałupa, stawiana niegdyś dla strycharza, wypalającego cegły, była teraz zupełną rudera; płaski, dranicowy dach zapadł się zupełnie i leżał na pułapie, ściany były pokrzywione, popodpierane kołami, wbitymi w ziemię, i z jednej strony obsypane ziemią i sosnowymi igłami.

Pustka była dokoła, aż strachem mroziło; las ponury, świerkowy stał zaraz posępną głuchą ścianą; i tak coś ciągle szumiało w nim, gadało, wyło tysiącami głosów, że ludzie, o ile mogli, omijali go z daleka. Mroźnymi nocami i w odwilżne dni marcowe wilki wylaziły z niego gromadami i szły do wiosek na żer. Pustosząca była dzika i bezludna, ale Tomek chałupę wynajmował od dworu, bo mu było blisko na plant, tanio płacił i latem dzieci miały gdzie krowy paść. Zżył się z tą pustką, odwykł od wsi i od gromady ludzkiej, zdziczał, ale czuł się dobrze ze swoimi tylko.

Skoro tylko nadbiegł, zajrzał przez zamarznąłą szybę do wnętrza, ale ciemno było w izbie. Wszedł cicho i zapalił kaganek. Wszystkie dzieci na jedynym spały łóżku, ponakrywane szmatami, zagrzebane w słomę. W chałupie zimniej było, niż na świecie; wilgoć

zatęchła, przejęta zgnilizną, aż dusiła. Odrapane ściany, pokryte warstwą szronu, świeciły niby posrebrzone. W miejsce podłogi ubity z gliny tok, skostniały od mrozu, dudnił głucho pod jego nogami. Nachylił się nad łóżkiem posłuchać oddechu śpiących, bo go obleciał strach, czy nie pomarzęły.

— Śpi se bidota kochana, śpi! — szepnął radośnie.

Wiórów z sieni przyniósł i w żelaznym cyganku rozniecił ogień, a potem w wiaderku urąbał nieco lodu i nakładł go do garnuszka, który zaraz przystawił do ognia. Połowę przyniesionego chleba nakrajał w miskę, osolił i czekał, aż się woda zagotuje. Kręcił się po izbie prawie bez szelestu i coraz to przystępował do łóżka i przyglądał się dzieciom... W jego niebieskich, jakby wyblakłych oczach świeciła taka chłopska miłość dzieci, dla której poza nimi niema już nic na świecie droższego.

— Sieroty moje, zaraz będziecie jedli, zaraz — szeptał rozradowany i dokładał coraz więcej do ognia, a gdy woda zaczęła wrzeć, przystąpił do łóżka.

— Maryś! Józwa! wstańta, dzieci! — zawołał, potrząsając nimi. — Wstańta na kolacyę.

Rozbudziły się zaraz. Było tego pięcioro: cztery dziewczyny i chłopiec najmłodszy, może sześćioletni — tego Tomek wziął na ręce, okręcił połą kozucha i przysiadł przed ogniem, — chłopak rozespany popłakiwał i grymasił.

— Cicho, synku, cicho! Naści chleboszka, to ojciec duchowny dla was dał, naści, synku.

Chłopak nos i oczy przecierał, a chleb gryzł łakomie.

— No, chodźcie, dzieciuchy, wodzianka już jest.

Nalał wrzątku na chleb.

Pościągaly się z łóżka, poprzykucaly dokołamiski i jęły się tej wodzianki z ogromną łapczywością.

Sine, wynędzniałe twarze dzieci miały w tonie skóry coś z barwy tych ścian odrapanych i oszroniałych, uzupełniały je niejako. Nędza długa, taka chłopska nędza, co to powoli dobiera się do gardzieli i długo dusi, napiętnowała te twarze wymownie, zostawiła im skórę na kościach, spojrzenia zaiskrzone i tępe, usta poociągane i niezmiernie ruchliwe i apatyczne w całym wyrazie. Tomek ogarniał dzieci wzrokiem ojcowskim, sam prawie rzadko sięgał do miski, aby im jak najwięcej zostawić — podtykał tylko chłopcu.

— Jedz, synku, jedz... Bardzo się wam jeść chciało?

— Przecie — odezwała się Marysia. — W południe poszłam do wsi, stryjna Jadamowa dała mi kartofli — ugotowałam i zjedliśmy — a teraz o wieczoru, to Józiek i Anka płakały, że ich w dołku boli — jeść im się chciało, położyłam ich spać i tyła.

— Jedzta, dzieci — ten chleb babka Jagustynka dała, a ten — ojciec duchowny. Maryś, jest tam dziebko jagiel, ugotujesz im jutro. Pan Bóg miłosierny nam pomoże, trafi się jaka robota, to może z korczyk kartofli się kupi, albo i kaszy ze ćwiartkę, niechby tylko do wiosny przecierpieć jako tako.

— To krowe se kupimy, prawda, tatulu? — zapytał Józiek.

Ogień bystro się palił i od rozgrzanego do czerwoności piecyka rozchodziło się ciepło przyjemne, że nawet świerszcz gdzieś na przypieckuzaczął głośno strzykać, a dziewczyny posiadały u nóg ojcowskich, zbiły się w kłębek i patrzyły na niego, jak w obraz. Tylko Marysia siedziała z boku, na ławce, i kijaszkiem raz po raz poprawiała węgielki.

— Kupicie krowe na wiosnę — prawda, tatulu?

— Prawda, synku, kupie. Będziesz se pasał albo i z Jagusią.

— Kiedy ona mnie dzisiaj zbiła, tatulu!

— Nie bój się, jak ją spierę, to zaraz cię nie będzie tłukła.

— Graniastą kupicie, tatulu?

— Graniastą albo i siwuchę, synku.

— I da mi Marysia mleka, tatulu?

— Da ci, robaku kochany, da!

— A kiedy, tatulu?

— Na wiosnę, tylko ciepłej Pan Jezus na świecie zrobi.

— A bez co to zimno teraz, nie wiosna, tatulu?

— Panu Jezusowi na uciechę, a grzesznym ludziom na upamiętanie.

— To my grzeszne, tatulu? i Józwa, Maryś, Jagusia, Anka i ja, tatulu?
 — Wszystkie grzeszne, synku.
 — A dlaczego my grzeszne, tatulu?
 — Laboga, taki marny robak, a już deliberuje.
 — To wszystkie chłopy są grzeszne, tatulu?
 — I chłopy, synku, i pany, i wszyscy.
 — A kupicie owieczków, tatulu? — zapytałnowu, po długim przestanku, z trudem podnosząc klejące mu się powieki.
 — Kupie ci, synku, kupie. Maryś uprzedzie wełny i zrobi ci porteczki.
 — I spencerek! z guzikami! jak ma Wawrzonów Franek, prawda, tatulu? i Józwie wełniak i Ance, prawda, tatulu?
 — I spencer dla ciebie, i Józwie wełniak, i wszystkim odzienie — niech tylko Matka Przenajświętsza nas zapomoże, to wszystko będziecie mieć, robaki kochane.
 Zaniósł Józka do łóżka i troskliwie go ułożył.
 — Idźcie, dzieci, spać, idźcie, przedź wam nocka zleci.
 Dziewczyny zaczęły mówić głośno pacierz, a on przyniósł sobie z sieni wiązkę słomy i rozesał ją pomiędzy piecykiem a łóżkiem, zgasił lampkę, okręcił się kożuchem i legł spać.
 Milczenie zaległo izbę, przerywane tylko równymi oddechami dzieci i cichem łkaniem.
 — Maryś! — rzekł po długiej chwili, dosłyszawszy płacz — co ci to, córko?
 — Nic tatulu, tylko mnie tak rozebrało, że my takie biedne, choć nikomu nic złego nie zrobiliśmy.
 — Cicho, córko, nie płacz. Ojciec duchowny obiecał nam pomódz i tak pięknie mówił, że musi być, co nam pan Jezus przemieni; robotę jaką dostanę, to i ostoja przed biedą będzie. Nie bój się, Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.
 Przyciszyło się znowu, płacz się urwał, tylko świerszcz, podbudzony ciepłem, strzykał głośno, a czasami węgielki w piecyku trzaskały i rozsiewały coraz słabszy w ciemności pył purpurowy — ciemność coraz większa przepelniała izbę i senność.
 — Maryś, śpisz?
 — A bo to mogę! śpiak mnie gdzieś do cna odszedł, i co przywrę oczy, to mi się widzi, że matula stoją przede mną, to znowu jakaś pani szlachetnie ubrana idzie i kiwa na mnie palcem, albo że ten prosiak, coście go sprzedali, kwiczy za ścianą.
 — Zmów se pacierz, córko; to nic tylko z głodu taki sen przychodzi do głowy. Pójdziemy jutro do lasu, może się da się rąbać.
 — Hale! Stryjna Jadamowa mówili, że już drózkami ani duchtem nie przejdzie, bo śniegi na chłopa. Kłęb powiedzieli, że pisarz z lasu o dziesiątkę chce płacić więcej, aby tylko ludzie rąbali.
 — Ze wsi idzie kto?
 — A jak iść, kiedy śnieg taki, że wyleźć nie mogłam, jak poszłam po drwa.
 Zamilkli znowu. Pociąg przechodził, aż chałupa dygotać poczęła i w ścianach coś groźnie skrzypiało, a potem słychać było słabe echa trąbek dróżniczych.
 Przycichło wszystko zupełnie, tylko przez szybki przeciskał się głuchy szum lasu i suche poświstywanie wiatru. Tomek nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok i rozmyślał coś ciężko.
 — Maryś, do służby poszłabyś, córko? — zapytał cicho i trwożnie.
 — Jak tatuś każe, to i pójdę — tylko, że sama mieć będę lepiej, ale wam nic nie ulży.
 Tomek już nie odpowiedział i wkrótce posnęli.
 Nazajutrz życie powlokło się tym samym szlakiem nędzy, która ich otaczała coraz twardszym kołem.
 W południe zjedli resztę wczorajszego chleba i kaszę.
 Tomek tylko patrzył dzieciom w oczy, głaskał ich po głowach i nie mówił nic, bo mu wnętrzości szarpała rozpacz. Łaził koło chałupy, jak senny; rąbał drwa, obciosywał jakieś kołki, gotował się gdzieś iść, wyglądał na przebiegające niedaleko pociągi; w godzinach, w których kiedyś wychodził na służbę, wychodził i teraz, podchodził do kolei śpiesznie i jeszcze śpieszniej powracał, bo sobie gorzko uprzytomniał, że niema gdzie iść i po co!

Tyle lat chodzenia w obroży automatycznie wykonywanej służby zostawiło w nim głęboki ślad bezradności. Tracił po prostu przytomność, nie wiedząc, jak tu żyć dalej — bez służby i nie mając ziemi. Nigdy o niczem sam nie potrzebował myśleć, bo przez szesnaście lat myślała za niego nieboszczka żona, a przedtem ludzie, u których służył. Był z tych chłopów, którym koniecznie musi ktoś powiedzieć: idź tam, zrób to — myśl tak; to i pójdzie, i zrobi, a teraz spadł na niego ten trud myślenia razem z biedą, więc choć się ciskał, łamał w sobie, wył z bezsilności — nic nie wymyślił. Nędza szczyrzyła do niego zębami i kąsała mu dzieci — a on siedział dnie całe, bezmyślnie zapatrzony w siebie, i nie umiał temu zaradzić. Do ludzi, na wieś, nie szedł prosić, bo mu to wprost na myśl nie przychodziło. Całe życie, na każdy kęs, musiał robić ciężko, musiał go wyrwać krwią i potem, nigdy mu nic nie przyszło darmo — więc i teraz, jeśli myślał, to tylko jedno zarobić! Zarobić nie było gdzie — padał wyczerpany.

Dopiero wczoraj zaświtała mu w karczmie myśl rąbania sągów, i stara Jagustynka dała mu radę udania się o pomoc do księdza.

Po południu, jak tylko mróz nieco zwolnił, zabrał Marysię i poszli do poręby, gdzie leżały stopy poćcinanego jesienią drzewa, ale tak zasypane śniegiem, iż cała poręba była jedną oślepiającą białością równiną.

— Maryś, zmożewa? — szepnął Baran, drapiąc się po głowie.

— Pies, nie zima! — mruknęła ponuro dziewczyna, uderzając rydlem w śnieg.

Nic już nie mówiąc, zabrali się do odkopywania świerków.

Rzucili się do roboty z gorączką. Tomek robił za czterech, a Marysia z jakąś wściekłą pasją kopała niestrudzenie, nie bacząc na pot, zalewający jej oczy, ani na wyczerpanie, jakie wkrótce poczuła. Przypinali się do tego śniegu, jakby do nienawistnego nieprzyjaciela, jakby do uosobienia wszystkich ich nędz, i darli go łopatami z dzikim, kamiennym uporem chłopskim.

Śnieg był zmarznięty i twardy nieledwie, jak lód, że z trudem wielkim można go było ryc żelaznymi łopatami; robota szła niesporo i tenopór rozwściekłał ich po prostu. Tomek zrzucił kożuch, został tylko w koszuli i, nic nie widząc dokoła, z jakimś rozszaleniem kopał — gruba koszula pociemniała mu na plecach od potu, baranicę rzucił także, że włosy, niby roczochrana wiecha, trzęsły mu się za każdym ruchem.

— Świniaś, psiachmać! — mrucał chwilami nienawistnie i tylko mu twarz zmęczona, groźna zawziętością, migotała nad śniegiem krwisto-fioletową plamą. Marysia przysiadła chwilami, aby złapać tchu i odpocząć nieco, ale zaraz zrywała się i z zawziętością nową szarpała białe łono.

A las, biały od masy śniegu na gałęziach, stał dokoła wyniosłą ścianą, i jakby w śnie zimowym pogrążony, tak był cichy i spokojny. Czasami tylko gałąź jaka drgnęła pod ciężarem i kaskada białego pyłu polala się nad ziemią, wrony przeciągnęły nad lasem z krakaniem, to znowu sroki całą bandą padły na wyniosłe nasienniki, kołysały się na sękach, biły skrzydłami, i, jakby drwiąc z Tomka, krzyczały:

— Głupi Baran, głupi! — i tak skrzeczały, że Tomkowi wydało się to wprost wyśmiewiskiem — rzucał kawałkami śniegu i odpędzał — i znowu zapadała cisza, pełna oślepiających blasków śniegu i słońca, przerywana jedynie zgrzytem rydli, świstem wyrzucanych kawałów śniegu i chrapliwym, ciężkim dyszeniem kopiących.

Godziny płynęły wolno i las niepostrzeżenie zaczął smętnieć, oblekać się w fioletowo-purpurowe tumany zachodu, potem poszarzał i cicho wsączał w siebie mrok, co się rozlewał od miedzianych

zór na niebie, pociemniał i, zdawał się w końcu w jakieś głębie nocy nadchodzącej zapadać zwolna i zlewać się w jedną, nieskończoną masę ze śniegiem, z przestrzenią i staczać w senność i zadumę.

Było już dobrze ciemno, gdy skończyli robotę. Oczyszczili trzy potężne świerki.

Tomek się wyprostował, przeciągnął, i uderzając łopatą w śnieg, rzekł szorstko:

— Zmogliśwa! a ścierwo, zmogliśwa! — Odział się starannie. — Idź Maryś do chałupy. Ja pójdę do Żyda, wezmę pieniędzy na robotę, bo jutro jak nic ćwiartkę postawię. Przyniesę zaraz jeść. Idź, córko, a otul się, boś się sielnie zharowała, a i mróz na noc idzie. — Poglaskał ją pieściwie po twarzy i poszedł w głąb lasu.

Marysia okręciła głowę zapaską, zabrała łopaty i wolno poszła w las, ku domowi. Czuła się nie tyle zmęczoną, co głodną i bardzo senną. Z początku szła bezmyślnie, ale potem las zaczął się jej wydawać takim groźnym i ponurym, tak czerniał dziwnie i jakby rozbrzmiewał jękiem w głębiach, że obleciała ją trwoga niewytłómaczona. Zdawało się jej, że niezliczone pnie drzew zabiegają jej drogę ze wszystkich stron, że pomiędzy niemi świecą w dali jakieś oczy czerwonawe i migocą trójkątne pyski wilków: przymykała na chwilę oczy, ale strach rósł nieustannie. Zaczęła szybciej lecieć i dla dodania sobie odwagi, na pół już przytomna śpiewała:

»Mazury, Mazury! chłopcy kiej drabany!
Sadzić wama kury — nie chodzić do panny!
Hu — ha!«

A później:

»Nie boję się chłopca, choćby była kopa —
Nie boję się wilka, choćby było kilka.
Hu — ha!«

Ale bało się biedactwo ogromnie...

Tomek dostał na robotę od pisarza leśnego za osiem złotych żywności i rubla gotówką. Żyd dał chętnie, bo znał go z uczciwości i sążnie były im gwałtownie potrzebne do odstawy na kolej.

Na drugi dzień rano Baran kazał się ubrać Marysi odświętnie, rubla zawinął w szmatkę i poszli do kościoła, ale proboszcz nie chciał wziąć od niego za mszę i tak się rozczulił, że kazał mu dać korzec kartofli i parę garncy kaszy.

Tomek się wypowiadał i całe nabożeństwo leżał krzyżem — i tak się modlił, tak prosił gorąco, tak się trząsał w łkaniu, tak żebrał zmiłowania, tak jęczał żałośliwie w bólu, skardze i prośbie, że ludzie z szacunkiem spoglądali na rozkrzyżowanego przed ołtarzem.

— Jezus! Panno Częstochowska... zmiłuj się nad grzesznym... Do Częstochowy piechty pójde... koronkę dzień w dzień mówić będę... chorągiew kupie... świec kupie... zmiłuj się nad grzesznym... O słodka panienko... o Królowo... ofiaruję Tobie siebie z dziećmi... przemień nam... Za cobądź robić będę, aby tylko na żebrę nie iść, aby mi tylko dzieci z głodu nie pomarły... O święty!... święty... święty... — jęczał i płakał krwawymi łzami skargi, prośby i błagał zmiłowania.

Organy brzmiały cichym, uroczystym hymnem, co, jak purpurowa fala dźwięków, rozpylał się nad jego głową i przejmował mu serce świętym dreszczem trwogi; głos księdza miał jakieś tęczowe blaski i przenikał go takim ukojeniem i rzewnością, że mu lez płynęło coraz więcej cichszych. Poczerniałe złocenia ołtarzy, dźwięki dzwonów, głębokie westchnienia modlących się, szepty pacierzy, dobrotliwe spojrzenia świętych z obrazów, tęczowy mrok, padający przez kolorowe okna, złotawe płomyki świec, jakby balsamiczne rytmy muzyki, co wciąż płynęły z chóru — wszystko to stopione w jakąś mistyczną harmonię, niewypowiedzianie słodką, rozplaszczało Tomka jeszcze bardziej u stóp Wszechmocy i przejmowało go ufnością bezgraniczną, pocieszeniem i wiarą — że już pod koniec mszy nie mógł zebrać myśli, tylko wzdychał, całował podłogę i płakał.

Wyszedł z kościoła ze zdwojoną wiarą i zapalczywością do roboty.

— Maryś! — rzekł w połowie drogi, kiedy wracali do domu, i przystanął nieco, bo dziewczyna szła za nim. — Maryś, widzi mi się, że nam przemieni Pan Jezus, bo to, jak ojciec duchowny powiedzieli: o lilijach i ptaszkach i innych choćby najmniejszych robaczkach pamięta, a nie miałby Jezus kochany o człowieka stoic, co?

— Musi być, co Pan Jezus zarówno stoi o wszystkich, — odpowiedziała poważnie.

Życie wydało mu się teraz jaśniejszem, bo na parę dni było co jeść w domu i mróz znacznie zwolnił, a nawet w południe zrobiła się mała odwilż. Tomek przeczuwał odmianę powietrza, bosłońce zaczynało się nie pokazywać i masy szarych, rozrzedzonych chmur zaciągały horyzont, więc niepokoił się znowu.

— Śnieg rośnie, ale nic to, Pan Jezus sobie dmuchnie i rozwieje wszystko — powiedział dzieciom, idąc do lasu rąbać drwa. Do wieczoru postawił ćwierć, choć się zmęczył

śmiertelnie. Poszedł spać wesoło, bo dzieci miały co jeść i sam się znowu poczuł wciągniętym do dawnego życia — robił.

Nazajutrz, gdy się obudził i wyjrzał na świat — sposepniał.

Śnieg sypał tak gęsto, że świata nie było widać i wiatr się zrywał z poświstem. Zanosił się na zadymkę, i ani można było marzyć o rąbaniu w lesie.

I jak zaczęły śniegi sypać, wichry wyprawiać dzikie harce po polach, zawieja zaciemniał świat, tak i nawet wyjść z chałupy było ciężko.

Nie było prawie dnia ani nocy, tylko jakaś posępna, szara orgia huraganu przewalała się po polach i przestrzeniach i biła ustawicznie potężnymi falami w Baranową chałupę i w las, co się tylko pokładał w tem mocowaniu się z wichurą, ale powstawał niezmożony i straszny, bo się rozsrożył walką i tak szumiał, trząsł się, trzeszczał, wył dziko i przeciągle, huczał — że dzieci nocami nie spały, a ptactwo uciekało z niego w pola. Tomek pilnował chałupy, bo groziła zawaleniem, aż ją całą zarzucił śniegiem zupełnie, że wyglądała niby wzgórze śnieżne.

Żywność się wyczerpywała, nie było na świeżą, ani można było iść po nią, tak drogi i pola były zawałone śniegiem. Drugiego dnia zadymki pociągi stanęły w śniegach i wszelki ruch ustał zupełnie ludzie się trwożnie cofnęli, ustępując miejsca żywiołom. Dopiero trzeciego dnia rano zawierucha ustała nieco, ale olbrzymie zasy dymiły, niby kratery, obłokami rozpylonego śniegu.

Tomek ubrał się w kozuch, wziął łopatę i poszedł na plant. Dozorca, jego pomocnicy, inżynier dystansowy, masy chłopów, spędzonych ze wsi okolicznych, wszystko to uwijało się około zasypanego w przekopie pociągu. Rozdawano ludziom wódkę i kielbasę, byle prędzej oczyścić tor.

W białych tumanach śnieżnego pyłu Tomek widział całe setki ludzkich sylwetek, pracujących wesoło, słyszał gwar rozmów, śmiechy, skrzyp rydli — łowił chciwie uchem te odgłosy i posępniał coraz bardziej, bo dla niego ani miejsca ani roboty nie było. Nikt go nie wołał do niej. Stał na przejeździe parę godzin zziębnięty, głodny i zrozpaczony, aż się doczekał Starszego, pochylił mu się do nóg i bardzo pokornie prosił o robotę.

— Baran przecież wie, że był ogłoszony okólnikiem po całej drodze, iż go uwolnili za kradzież, z zastrzeżeniem nieprzyjmowania do żadnych robót na kolei. Cóż ja wam, moi kochani, poradzę? ...

Tomek nie odrzekł nic, tylko smutnie zwiesił głowę i powłókł się do chałupy.

— A ścierwy! ścierwy! ścierwy! — zaczął naraz krzyczeć i taka nim złość zatrzęsła, że łopatę potłukł i przyszedłszy do izby, Marysię wybił, Józkakopnął i, jak oszalały tłukł się po izbie, rwał sobie włosy, ale że mu to nic nie pomogło i wyczerpał się prędko, uspokoił się i znowu czekał.

Od księdza nie było żadnej wieści, dnie się wlokły strasznie wolno i strasznie głodno. Jednego wieczoru, po całodniowym poście, przyszło mu coś na myśl.

Dzieci płakały, a Józek cicho się skarżył, że go coś gniecie pod piersiami i że mu jakoś we *wątpiach* piszczy, był rozpalony od gorączki, przez sen się zrywał, krzyczał i prosił o chleb.

— Nie płacz, synu, przyniesę wam jeść — powiedział Baran krótko. Wziął worek, siekiereę i poszedł ku dworowi.

Brnął w śniegu po pas, ale doszedł do tych stodół, gdzie niedawno widział psy, wyprawiające ucztę. Szukał padliny — macał w śniegu nogami, to steliskiem siekiery, ale nie znalazł nic. Miał już odchodzić z niczem, kiedy dosłyszał ciche warczenie u szczytu budynku — tam poszedł.

Kilka psów rozrywało pomiędzy sobą owcę i warczało. Rozpędził je siekiereę. Psy ustąpiły niechętnie, szczękając zębami na współzawodnika.

Tomek wybrał z tej owcy najmniej uszkodzone części, wsadził do worka i, zarzuciwszy go na plecy, zawrócił ku domowi.

Psy rzuciły się za nim ze skowytym; skakały mu do worka, rwały go za kozuch i docierały zajadle. Odganiał je siekiereę i śpiesznie biegł, ale znalazł się pod śniegiem rów jakiś, w który wpadł. Psy skoczyły na niego. Wszczęła się krótka walka, z której wyszedł zwycięzcą — ale z porozrywaniem na plecach kozuchem, z przegryzioną ręką i okaleczoną twarzą.

Dwa psy wyły, tarzając się z bólu i znacząc krwią śniegi, reszta uciekła, a on pozbiarał się ledwie i powłókł wolno do domu ze zdobyczą.

— Macie jeść — rzekł Marysi, rzucając worek na izbę.

Mieli co jeść, ale Józiek, jego dziecko najukochańsze, na drugi dzień po tem jedzeniu rozchorował się na dobre.

Leżał na łóżku czerwony, obrzękły, cały w potach i tak bezsilny, że głowy nie mógł podnieść. Tomek aż głową tłukł o ścianę, zrozpaczony śmiertelnie o jedynaka, w końcu poszedł starać się o lekarstwa.

Pachciarz dworski, który różne medykamenta sprzedawał pokryjomu, dał jakieś proszki na kredyt, jak również nieco żywności. Proszki nic nie pomogły, bo już po nich, trzeciego dnia, Józiek leżał bezprzytomny i tylko coś bredził gorączkowo.

Tomek, jako po ratunek ostateczny, poleciał po starą Jagustynkę, która się знаła na chorobach i, czy się komu zwił kołtun, czy go coś wewnątrz bolało, czy potrzeba było odczynić urok, albo przemierzyć przesunięte dzieci, wszystko to z równem szczęściem leczyła zażegnaniem, odczynianiem albo ziołami.

Przyszła z nim zaraz i aż się za głowę ujęła, zobaczywszy chorego.

— Loboga! temu tylko Pan Jezus pomódz może — szepnęła.

— Sprobujcie, babko. Lekujcie tego mojego parobka kochanego.

— Przemierzycy go potrzeba, albo i okadzić i zażegnać... bo ja wiem co!...

— Wszystko róbcie, aby mi tylko nie zmarł chudziaszek. Loboga! taki sielny parobek. Na wiosnę byłby już do pasania — a taki układny, taki obserwant, taki dobry, loboga! — jęczał ze łzami Tomek.

— Jak Pan Jezus kogo miłuje, to mu niczego nie żałuje... Ale, Tomek, ojciec duchowny mi powiedzieli, żebyś ty zaraz szedł na stacyę; będzie naczelnik, przyjedzie oglądać te zasy. Idź zaraz i telko nie bądź hardy, obłapiaj grzecznie za nogi i proś. Ksiądz przyjedzie później i pogada, tak mi powiedział.

— A chłopaka tak zostawić?

— Idź, chłopaka dojrzę, co będzie trzeba koło niego zrobić — zrobię.

— Dobraście, babko, że i rodzona nie byłaby lepsza.

— Ale! dlaczego-to miałabym być zła!...

— Insze kobiety nie mają takiego pomiarkowania.

— Bo insze widzą tylko swoich chłopów, dzieciska i kłopoty... No idź już.

Tomek wprawdzie z pewnem ociąganiem poszedł na stacyę.

Stara przyniosła ze wsi ziół, siwy gliniany garneczek z pokrywką i zaczęła w nim coś warzyć. Józka rozebrała do naga i ułożyła go na środkuizby — podesławszy mu snopek prostej słomy; leżał cicho i bez tchu, był nieprzytomny.

Potem wrzuciła do garnka trochę gromnicznego wosku i skoro się rozpuścił we wrzątku, zaczęła nim chłopca nacierać, mrucał coś niezrozumiale.

Dziewczyny zbiły się pod piecyk i z trwogą spoglądały na ceremonię.

Stara pozostała od nacierania wodą odlała rodzaj trójkąta, w środku którego leżał Józiek, i przystąpiwszy do pierwszego kąta izby powiedziała głośno i z namaszczeniem:

— Czarnemu kapeczkę — białemu kwatreczkę! — Odląła kroplę w ką, a całym strumieniem chlusnęła na izbę. Powtórzyła to trzy razy. Potem wzięła glinianą pokrywkę, nałożyła na nią rozżarzonych węgielków, na to nasypała suchych bobków owczych, suchych kwiatów, zwanych »stulipysk«, pół wianka roszarki, poświęconej w oktawę Bożego Ciała. Dmuchała dziewięć razy, aż się rozżarzyło wszystko i cienki strumień dymu popłynął w powietrze — wtedy zaczęła okadzać leżącego i szeptać jakąś formułę odczyniania.

Okadzała następnie ściany; wyszła na dwór i nie zważając na zasy, okrążyła chałupę trzy razy, nie odetchnąwszy i okadzając bezustannie.

Chłopak wciąż leżał wyciągnięty i nieruchomy. Ciało miał pokryte sinawemi plamami, obrzękłe, suche i świecące.

Jagustynka, wytarłszy go raz jeszcze wodą, okręciła w płachtę i położyła na łóżku, a później zajęła się dziećmi.

Tomek tymczasem już naczelnika zastał na stacyi, zobaczył go spacerującego z dozorcą po olbrzymiej i wspaniale brudnej sali klasy III. Wyciągnął się zaraz przy drzwiach, niby struna, i czekał, bo dalej postąpić kroku nie śmiał.

A oni chodzili tam i z powrotem, tak zajęci rozmową, że nawet nie zauważyli jego wejścia. Ile razy przychodzili bliżej, tyle razy Tomek prostował się jeszcze sztywniej i otwierał już usta, ale jakoś prędko zawracali, że zawsze było za późno. Wreszcie, po długiej pauzie i czekaniu na sposobność, zebrał w sobie odwagę i powiedział stłumionym i drżącym głosem:

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika.

Nie usłyszał naczelnik, bo półgłosem mówił...

— Przedewszystkiem, skłaniam się ku paryzmowi, ku monarchii Paryża nad światem — i uśmiechał się słodko do wspomnień i skubał delikatnie szpakowatą, iście senatorską brodę.

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika — powiedział znowu Tomek, ale nieco głośniejszym głosem, bo się niecierpliwił i niepokój o Józka przejmował go coraz większy.

— Pan naczelnik bawił długo w Paryżu?

— Piętnaście lat. Mgnienie, powiadam wam, rozkoszne mgnienie.

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika! — krzyknął prawie Tomek, bo myślał, że tam Józiek może konać, tak ostrym przejęła go strachem, że już nie wiedział, co robić.

Naczelnik, usłyszawszy go, przystanął, wrzucił z precyzją monokl w oko i rzekł:

— Ha! cóż ty, bracie, powiesz?

Tomek rzucił mu się do nóg i gadał prędko i bezładnie:

— Dostałem dymisy, wielmożny naczelniku, wygnali mnie. Piętnaście lat służyłem i zostałem bez służby... do roboty nie chcą mnie wziąć... pięciorgo sierot zostało bez chleba... Przyszedłem się dopraszać łaski wielmożnego naczelnika... bieda tak mnie już zmogła, że i tchu złapać nie mogę... Na plancie wszystkie roboty znam... pocziwie służyłem...

— Panie naczelniku, to ten Tomek Baran, dróżnik, wydalony ze służby za kradzież żelastwa kolejowego.

— Nie kradłem, wiel... naczeln... a wygnali mnie... Nie wzionem, jak na spowiedzi świętej mówię... Wygnali mnie sierotę... i lemeryture wzięny, strączkę z pensyi wzięny... kaucyje wzięny... Zostałem bez niczego, jak ten palec.

— Mógł być pociągnięty do odpowiedzialności karnej — szepnął dozorca, obojętnie patrząc w okno.

— Widzisz, a toż zasłużyłeś, bracie, na więzienie, ha! — powiedział poważnie naczelnik.

— Przez co ja miałem iść do kryminału! Zabiłem to? ukradłem co? — zawołał żywo Tomek i aż zadygotał cały ze złości naglej.

— Z litości się to zatarło, bo ma dużo dzieci.

— Nie wsadzono cię, bo miano litość nadtwojemi dziećmi, ha! Powinieneś być wdzięcznym, ha! — powtarzał wolno i uroczyście naczelnik.

— Przyszedłem się dopraszać sprawiedliwości. Pan dozorca przecież wiedzą, co mi urządzili. Pan dozorca sam...

— Denuncyacya! Zaraz pan naczelnik pozna nasz lud kochany.

— Denuncyanty my z dziada pradziada nie były, to i nie będziemy. Do oczów staję i powiem, jak było — a piętnaście lat strączki, choćby i bez procentów, nie daruję, jako i nie daruję kaucyi...

— Nie dostanie składek emerytalnych, bo prawo jest wyraźne.

— Prawo jest to, co sprawiedliwe, a sprawiedliwa, rzecz wygnać niewinowatego!... sprawiedliwa, nie oddać pieniędzy, przez tyle lat z krwawicy odtrącanych! sprawiedliwa!...

Do sądu choćby pójść dochodzić prawa, bo mi się krzywda stała! — wołał Tomek, unosząc się coraz bardziej.

— No, gadaj tu z chamem! Nie znasz instrukcyi?

— Znam to, że instrukcye pisali dla siebie, a narodowi prawdę drogo borgują. Oszukiwać, to i parch albo drugi pies potrafi...

— Milczeć, chamie! Cóż ty, psiakrew! mordę tu będziesz rozpuszczając i pyskować? — krzyknął ze szlachecką pan dozorca.

— Ukrzywdzony jestem, to i pyskować będę.

— Złodziej jesteś, bydlaku jeden.

— Ja złodziej! — ty ciarachu zapowietrzony, ja złodziej! — ty frybro! ja! — krzyczał Tomek, zaciskając pięści, i posuwał się bezwiednie naprzód.

— Szwajcar! za drzwi z tym chamem, a jak się nie uspokoi, do policy! Chodźmy, panie naczelniku. A bydło!

Wyszli na peron.

— Już ja ci żebra, ciarachu, policzę, już ja cię przyrządzę, psie zapamiętały, aże cię frybra jangielska pokręci — szeptał Tomek i taki huragan gniewu i nienawiści zalał mu serce i mózg, że aż pot rześisty uperlił mu czoło, aż trząsał się cały w spazmie wściekłości i miał szaloną ochotę biedz za dozorcą, chwycić go za gardło i bić... bić... bić... Rychło się jednak otrząsnął z tego uczucia, wyszedł ze stacyi, i co tylko miał sił, leciał ku domowi.

W chałupie zastał sporo ludzi i Józka już konającego.

Chłopak, z gromnicą w ręku, leżał na wznak, wyprężony jak drzewo, i rzeżał, chwytając z trudem spieczonemi ustami powietrze.

Ludzi się naszło ze wsi i klęczeli koło łóżka, odmawiając za starym Andrzejem, kościelnym, litanie. Twarze były surowe, a w oczach tkwił wyraz spokojnej, jakby kamiennej rezygnacyi. Dziewczyny, siostry konającego, zawodziły głośnym płaczem, i w całej izbie, pełnej żółtych gromnicznego światła refleksów, rozpoczął się tragiczny nastrój.

— Jezu Marya! Jezu Marya! — ryczał Tomek i ogłupiałemi oczyma wpijał się w twarz jedynaka, i targał sobie włosy z niemocy rozpaczliwej.

— Cicho, Tomek, cicho! Panu Jezusowi podoba się wziąć duszyczkę do swojej chwały, to i cóż ty, robaku marny, poradzisz na to? co? — uspokajała go półgłosem Jagustynka.

— Syneczku mój, dzieciąteczko moje kochane, śrybło moje i złoto! — jęczał Tomek.

— Okadziłam, zmierzylałam — i nic... Wola Twoja, Panie...

»Od wszelkiej rozpaczy! —

szeptał drżącym głosem kościelny.

Wybaw nas, Duchu święty Boże«

odpowiadały prędko kobiety, i ten szept głosów gorących, westchnień, płaczów, zdernerwowania, rozlewał się po izbie, niby żółty strumień, i powracał do konającego, który w gloryi gromnicznego światła leżał, wyprężał się coraz sztywniej, usta otwierał szerzej i lewą ręką szarpał sukmanę, okrywającą mu piersi.

— O mój syneczku złoty! O moje dzieciátko kochane — ryczał Tomek. — Odchodzisz nas, robaku kochany, odchodzisz! Na ojcowe płkanie nic nie baczysz, żałościwości naszej się nie litujesz, sieroty biedne nas zostawiasz!... i idziesz se, dziecino najmiłsza, do Jezusiczka... o!... o!... o!...

— O bracie serdeczny, nie sieroc ty nas; — parobku najmiłszy, nie odchodź ty nas, — jęczała Marysia, podtrzymując mu gromnicę.

— »Od potępienia wiekuiestego/
Wybaw nas, Duchu święty Boże...

brzmiały znowu silniej głosy.

— Nie pognasz ty już krówków, parobku kochany. Nie wyciarachasz ty już za łeb siostrów, jedynaku, nie polecisz ty już na wieś. Nie będziesz sobie na wiosnę wypatrywać ptaszków, nie będziesz... nie będziesz...

— Tomek, nie płacz, Tomek, bo...

Od nagłej i niespodziewanej śmierci
Wybaw nas, Duchu święty Boże.

— A z rana to już wyrzekał: Tatulu, powiada, ja nie zamrę. Tatulu, nie dacie mnie Kostusi. Tatulu, ja od was nie pójdę!... — i tak się skamlał, jak pies, co widzi zatracenie i śmierć. O biedne my sieroty, biedne! Czemu ci, synu, ulżyć, czemu!... A jego, biedaka, we wnętrzu cosik gnietło, bo się tylko za ten kochany kałdunek trzymał i postękiwał

z boleścią... Paciorek z Marysią mówił, to mu po policzkach te łzy kochane ciurkiem się lały i tak się trzął w sobie, kiej osika!

Józiek przestał naraz rzeźzić, otworzył usta w długim chrapliwym oddechu, drgnął cały gwałtownie, uniósł nieco głowę i, powłócząc błędnie oczyma po obecnych, opadł na poduszkę i wyciągnięty, wpatrzony szklanemi oczyma w pułap, z jakimś krzykiem okropnym na oniemiałych ustach — skonał.

Gromnica wypadła mu z rąk, palce się rozprężyły, twarz wypogodziła, i tak pozostał obojętny na wszelkie dobro i wszelką nędzę.

Podniósł się krzyk i płacz wstrząsający.

— Cichocie, ludzie — zawołała Jagustynka, otwierając drzwi na rozścież — aby choć bez pacierz cichocie. Niech se duszyczka w cichości odleci, niech ją żałośliwość wasza nie odciąga od Jezusiczka.

Przyciszyło się istotnie, a wkrótce prócz starej rozeszli się wszyscy do domów.

Do samego pogrzebu Tomek tak się czuł zgnębiony biedą i rozpaczą po stracie jedy- naka, że całe dni przesiadywał pod piecem nieruchomy i apatyczny na wszystko; zawijał się tylko jakby we własną boleść i czuł, że jakaś żelazna ręka wzięła mu duszę i tak ją straszliwie gniecie, iż się poruszyć ani krzyknąć z nadmiaru bólu nie potrafił.

Za pogrzebem poszedł i tyle miał przytomności, że trumnę na wozie podtrzymywał, ale patrzył bezmyślnie na ludzi, na świat, nie słyszał prawie śpiewów, ani słów pociechy, jakich mu ludzie i ksiądz nie żalowali.

— To śmierć tak się we mnie rozpiera — pomyślał, wyczuwając jakąś dziwną ciszę w sobie i spokój, ogarniający mu duszę.

— Widzi mi się, że zamrę! — szeptał, powracając sam z cmentarza, bo ludzi zatrzymał ksiądz i mówił coś do nich gorąco, ale Tomek nie uważał, choć słyszał wymawiane swoje imię. Szedł samotnie i patrzył na pola olbrzymie, zasłane puchami śniegów, poznaczone gdzieniegdzie gruszami, to na jasne niebo, to w złotą tarczę słońca, i zdawało mu się, że to wszystko kołysze się zwolna, niby dzwon, i że to słońce bije w te czarne ściany lasów, niby we wręby spiżowe, i że jakieś słodkiedźwięki, podobne do chrzęstu zbóż dojrzewających, do szumu lasów w upały, do świegotania ptasząt w strzechach — ogarniają go, przepelniają mu mózg i duszę słodyczą wielką i kołyszą, i kołyszą coraz sennie, senniej...

— Widzi mi się, że zamrę — myślał, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co się w nim działo.

Przyszedł do chałupy, usiadł na dawnym miejscu i nic nie wiedział, co się wkoło niego robi. Walczył z życiem, jak mógł i umiał, ten ostatni cios wyczerpał go już zupełnie: już wiedział, że nie poradzi sam, że musi zginąć, więc mu się już wszystko stało obojętnem, z rezygnacją kamienną pochylił głowę i poddał się losowi. Nie myślał ani o sobie, ani o dzieciach pozostałych, ani o niczem — czekał jakiegoś końca.

Słyszał, że kilkanaście osób weszło do izby, że chodzą koło niego, że coś mówią — ale nic nie rozumiał. Położył się na ławie plecami do izby, kozuch naciągnął na głowę i tak leżał martwo.

— Kumie! — zaczął przybyły z drugimi Czerwiński, widząc, że Tomek jakby nie wiedział o ich przybyciu. — Kumie! że wam dolega, to jest prosta rzecz.

Tomek odwrócił się nieco i tępy, zagasłym głosem powiedział:

— Pewnikiem zamrę, to śmierć się tak we mnie rozpiera.

— Kumie, grzeszne myśli macie. Słuchajcie ino, co wam Czerwiński powie. Przyszli- śmy tutaj z dobrej woli, aby was pocieszyć i zapomódz, jakkto może. Biednyś ty, Tomek, i pocziwy, ale hardy jesteś. Do panów poszedłeś prosić o wspomóżenie, a my bliższe przecie. Juścik, że się nikt pierwszy wam nie wydierał z pomocą, bo każdy ma swoją biedę, co go żre, babę, co mu nade łbem klekoce, i swoje kłopoty — ale niema mięsa przez kości, a człowieka przez liłości... Miarkuj se tylko, że ci tak Czerwiński rzekł... Cze- kaliśmy, aż przyjdiesz i powiesz, jak do bratów: Dajcie, wspomóżcie! Biedę mam, dajcie, czy na odrobek, czy na bóg, czy za Bóg zapłać; dalibyśmy, bo wiemy, żeś ukrzywdzony i biedny. Swojaki jesteśmy i krześcijany, a tylko małpa małpie łysty szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać. Zmówiliśmy się, i co kto mógł, przyniósł. Weź, Tomek, i niech wam będzie na zdrowie.

— *In secula seculorum amen*³ — zakończył pobożnie kościelny.

Kobiety zaczęły węzélki rozwiązywać, zapaski rozkładać, koszyczki otwierać — i kładły obok Tomka, co która przyniosła: to chleba bochen, to kartofli, to kaszy, to mąki parę kwart, to soli zielonej grudę, to bedłek wianuszek, to słoniny pasek, to serek suszony, a Jagustynka położyła na ostatku związaną kokoszkę.

— Nieśna, Tomek, jajka będą, to i kurczątka będą na wiosnę — rzekła.

A Tomek uniósł się na ławie, patrzył po wszystkich, słuchał, dziwował się i powoli zaczęło mu coś w sercu drgać i jakaś słodka gorącość przenikała go całego i w gardle zaczęło go dusić coraz bardziej, że już nie mógł wytrzymać, tylko ryknął ogromnym płaczem.

— Braty kochane, ludzie krześcijańskie, czym ja wam odpłacę! — szeptał przez łzy, ale mu nie dali więcej mówić, tylko go sobie brali w ramiona i całowali, a on oddawał uściski, starszym chylił się do nóg, dziękował, i trzęsło się w nim wszystko z rozrzewnienia.

— Dobrocią odpłacisz, albo i pacierzem — rzekł poważnie Czerwiński.

— *Dominus vobiscum amen*⁴ — dorzucił kościelny.

— Jeszcześmy, za poradą dobrodzieja, postanowili, co aby ci lżej było przezimować, to do wiosny Józwe wezmę ja, Marysię — Kłęb, Jagusię — Gulbas, a Ankę — Boryna, dziewczuchom się u nas żadna krzywda nie stanie, a ty sam prędzej się zapomożesz. Jagustynka powiedzieli, że się do ciebie sprowadzą, jako żebyś warzę miał i dogład kobiecy.

— Zostanę u ciebie, Tomek, sierotą też jestem, nie objem cię, sama coś niecoś zarobie, a zawždy mi pod chłopską opieką będzie lepiej.

— Laboga! ludzie, ady od tej waszej dobrości to mam w sercu jako wiosnę.

— Sfamuliłeś się ty z biedą, że cię potrzeba od niej przez moc odrywać.

— Z czyjego woza, to zsiadaj choćby i na pół morza.

— *Ora pro nobis Domine amen*⁵ — zakończył kościelny, wyjął z kieszeni flaszkę z wódką, chrząknął, nalał w kieliszek i zaczął:

— Gospodarze, jako na ten przykład, mówi Pismo święte: *Ave marysteli deo gratias amen*...⁶ — i wypił do dna. — Jako jest dobrze kusztyciek gorzałki wypić, co by odegnąć te złośliwe humory z wątroby, tak wy, Tomku Baranie, pijcie, a potem zmówmy paciorek na intencję ś. p. Józefa — i *mea culpa, mea maxima culpa amen*⁷.

Posiadali, gdzie kto mógł, popijali nieco gorzałką z tej żałośliwości, przegryzali chlebem, pośpiewywali nabożne pieśni za zmarłego i rozeszli się.

Zaraz na drugi dzień poprzychodziły kobiety po dziewczyny.

Ciężko było Tomkowi rozstawać się z nimi, bo płakały, padały mu do nóg, prosiły, żeby ich nie dawał do ludzi, ale Baran się zaciął, więc tylko szorstko krzyknął:

— Idźta, bo was spiere, jak nieboskie stworzenia!

I jak tylko powychodziły, na cały dzień poszedł się włóczyć po lesie.

*

Zima zaczęła łagodnieć, przyszły wielkie odwilże i zginęło tyle śniegu, że w lesie rozlegał się ustawiczny huk siekier, rąbiących sęgi.

Tomek codziennie chodził do roboty.

Przykrzyło mu się za dziewczynami, szczególnie wieczorami, kiedy przyszedł z roboty i, choć kolacya zawsze była gotowa, ale mu było brak tych dziecinnych głów naokoło miski i szczebiotu Jóźka.

Czasem dziewczyna która przyleciała ze wsi, posiedziała chwilę czasu, naopowiadała o swoich dobrodziejach, o jadle, o szmatach — i rwała się z powrotem, bo jej już tęskno było za wsią i za ludźmi, a ta odrapana, nędzna chałupa razila po trochu. Rozumiał to dobrze Tomek, bo raz po odejściu Marysi rzekł do Jagustynki, która, co tylko jej zostało czasu od mizernych zajęć gospodarskich, to wciąż przędła len, gremplowała wełnę, albo motała przędzę w parniki.

³*In secula seculorum amen* — Na wieki wieków, amen (łac.). [przypis autorski]

⁴*Dominus vobiscum amen* — Pan z wami, amen (łac.). [przypis autorski]

⁵*Ora pro nobis Domine amen* — Módl się za nami, Panie, amen (łac.). [przypis autorski]

⁶*Ave marysteli deo gratias amen*... — Witaj, Gwiazdo morza... Bogu dzięki... amen (łac.). [przypis autorski]

⁷*mea culpa, mea maxima culpa amen* — Moja wina, moja największa wina amen (łac.). [przypis autorski]

— Nieboszczyk mój kochany nie odszedłby tak ode mnie, nie. Dobre są dziewczyny, jako i te moje, ale zawsze — tylko dziewczyny — i machnął ręką.

— Prawda, kobieta sama jestem, ale powiem, że co chłopak, to chłopak. Na rozpustę juścić on jest prędszy, ale i do roboty prędszy. Żeby był taki, jak Marysia, to na koleiby nie zarobił, co?

— Juści żeby zarobił, bo choć mnie dać roboty nie chcą, ale jemuby dali.

I zaraz z tego zaczął sobie przypominać niedolę swoją i krzywdy, a w końcu zapytał starej:

— Dlaczego to, babko, jest, że, choć my z panami jedni i mową i wiarą, a wrą na nas, kieby psy, pocziwego słowa nie dadzą, jak mogą ukrzywdzić, to ukrzywdzą — i wszystko one mają albo Żydy?

— Dlaczego? Dyabelskie urządzenie to jest, nic więcej. A przez co dyabeł trzyma duszyczki w smole, gdyby konopie we wodzie? — zapytała, puszczając na tok wrzeciono.

— Widzi mi się, że przez to, bo dusze grzeszne są.

— A naród głupi to nie grzeszny?

— A to czemu głupi?

— Ale! aby każdy wiedział, jak? co? la czego? Nie trzymałby go nikt za łeb, kiej piskorza, nie gniótlby po piersiach, jak wieprzka przy zabijaniu — nie.

— Źle jest.

— Musi tak być, kiedy jest.

— Pewnie. Nie chłopaska głowa robi lepiej.

— Nie robi i insza, choćby była taka uczona, jak ksiądz, albo drugi ojciec święty.

— Tylko?

— Tylko samo się robi, jak czas potemu nadejdzie. Miarkuj sobie tylko, czemu to w kopania nie sieją owsa?

— Ano, nie pora przecież siać owies na zimę.

— Czemu na Gromniczną z pługiem albo broną nie wyjdiesz w pole? Czemu owieczków nie strzygą w zapusty? — Bo na to nie pora, bo na wszystko Pan Jezus swoją porę, swój czas wyznaczył. Miarkuj sobie tylko, jakie to wszystko Boskie urządzenie jest.

— Prawda, babko, miarkuję sobie, ale mi ckno, że, choćby człowiek naprzód chciał dostać jakiej dobroci, to nie można.

— Ale! chcieć każdy zawsze powinien, jaki pilnować swojego czasu. Czas przyjdzie na wiosnę sadzić ziemniaki, siać owies, — to nie chciej sadzić, nie chciej siać — będziesz miał co jeść w kopania, będziesz miał co zbierać, jak pora przyjdzie zbierania?

— Prawda, babko, prawda, ale wy też pomyślenie mądre macie — laboga.

— Każdy powinien mieć pomyślenie za siebie i za drugich, bo przecież za ludzi nie świnie będą myśleć.

— Prawda, babko, prawda!

Tak sobie rozmawiali w długie wieczory marcowe Tomek Baran ze starą Jagustynką.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tomek-baran>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Stanisław Reymont, Tomek Baran, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0802-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.